

List *z Marany*

o. Jozef PAWLOWSKI SJ

DROGI INTERNAUTO,

Redakcja:
Dorota Kozioł

Zdjęcia:
o. Józef Pawłowski SJ

Publikujemy w Internecie za pozwoleniem autora

PIOSENKA DZIECI Z MARANY

Mała dróżka przez las biegnie, wciąż do góry i do góry... Tam, na górze, wielka brama, wokół dwa wysokie mury.

Pytasz: Co to?... - To Marana! Nad Maraną jasny blask... Jeśli nie wiesz, to ci powiem: to jest miejsce wielu łask.

Tu Jan Beyzym dla cierpiących wielki szpital wybudował, dał im całe swoje serce, sam się nimi opiekował.

Ojciec Beyzym przybył z Polski, płynął tu przez wielkie morze. Ciężkie życie miał w Maranie, lecz zaufał Matce Bożej.

Za dobrego Ojca Jana dziękujemy, Panie Boże! Przyjmij go do grona świętych, bo Ty przecież wszystko możesz.

Dziękujemy, dziękujemy! Niech Marana wiecznie trwa! Do miłego zobaczenia, tu, w Maranie. Pa, pa, pa!...

MARANA

Próżno szukać Marany na mapie świata. Dopiero od niedawna na satelitarnych zdjęciach zaznaczono na nich drogę, która nosi nazwę Rue de Marana. Droga ta wspina się wśród gór otaczających Fianarantsoa – piąte, co do wielkości, miasto na Madagaskarze (ponad 200 tys. mieszkańców), położone na Centralnym Płaskowyżu tej wyspy, na wysokości 1200 m n.p.m. Region ten od wieków zamieszkuje plemię betsileo – jedno z najliczniejszych na Madagaskarze.

Mniej więcej 7 km od Fianarantsoa jest Marana. Nie jest to wioska ani miasteczko. O takich miejscach mówiło się kiedyś „miejsce odosobnienia”. I tak rzeczywiście jest, bo mieszkają tutaj tylko ludzie chorzy na trąd.

Co po malgasku oznacza słowo Marana? – Nic. Prawdopodobnie tak miał na imię pierwszy mieszkaniec tego miejsca. Legenda mówi, że nazywano go księciem, bo pochodził ponoć z arystokratycznego rodu. Żył w II połowie XIX wieku. Kiedy zaraził się trądem, opuścił dom i zamieszkał na wzgórzu Kianjasoa, w pobliżu Fianarantsoa, gdzie rodzina wybudowała dla niego dom. Z czasem zaczęli do niego dołączać inni trędowaci, którzy znajdowali tu schronienie w górskich grotach. Marana, przed swoją śmiercią, podarował im tę ziemię na własność, by nie musieli tułać się z miejsca na miejsce. W kilkanaście lat później, francuscy jezuici z Fianarantsoa wybudowali tu niewielkie schronisko (na około 50 osób) i raz w tygodniu dostarczali chorym

żywność.

W 1902 roku przybył do Marany Ojciec Jan Beyzym – polski jezuita, który właśnie w tym miejscu postanowił wybudować dla trędowatych szpital z prawdziwego zdarzenia. Mimo wielu problemów, przeciwności losu, a przede wszystkim braku środków finansowych, udało się. Szpital powstał i istnieje tu do dnia dzisiejszego. Tak, jak za czasów Ojca Beyzyna, placówka ta utrzymuje się jedynie z datków napływających z Europy, głównie z Polski.

Szpital zaprojektowany był na 200 chorych. Miał być nowoczesny, piękny, na miarę europejskich szpitali. I taki rzeczywiście był. Nigdy nie świecił pustkami, bo chorych, szukających opieki, było i jest wielu. Niestety, w czasach Ojca Beyzyna, na tę chorobę lekarstwa nie było. Dzisiaj chorzy, którzy zgłoszą się do lekarza w miarę wcześnie i zastosują odpowiednie leczenie, mogą funkcjonować w społeczeństwie i być samodzielni. Ojciec Jan – jak sam mawiał – miał dla nich jedynie ręce i serce, no i jeszcze dach nad głową, który nie przeciekał w czasie deszczu. To niewiele, ale i bardzo wiele, biorąc pod uwagę to, że do tej pory trędowaci byli pozostawieni samym sobie, odrzuceni nawet przez najbliższych, pozbawieni środków do życia, skazani na tułaczkę i wieczną żebranię. Większość z nich nie umierała na trąd, ale z głodu. Ojciec Beyzym karmił ich, opatrywał ich rany, przywrócił im ludzką godność, której pozbawiano ich na każdym kroku.

Mieszkał wśród nich, był dla nich ojcem, bratem, przyjacielem, lekarzem ciała i duszy. Kochali go za to.

Choć od śmierci Ojca Beyzyma minęło grubo ponad sto lat, na Madagaskarze pamiętają o tym dobrym vazaha (białym) i modlą się, prosząc o jego wstawiennictwo u tronu Najwyższego. Pamiętają przede wszystkim tutaj, w Maranie, gdzie całe swoje serce zostawił.

NAJBIEDNIEJSI Z BIEDNYCH

Trąd jest jedną z najstarszych chorób nękających ludzkość. Czytamy o nim już w Biblii. Do Europy dotarł w I wieku przed Chrystusem. W połowie XIII wieku pojawił się nawet w Polsce. Dzisiaj, chociaż medycyna dysponuje środkami umożliwiającymi skuteczną walkę z tą chorobą, trąd szerzy się nadal i nadal jest groźny. Nie leczony prowadzi do ciężkich okaleczeń ciała, paraliżu, utraty wzroku itd., a w końcu do śmierci.

Jak podają statystyki, na całym świecie aktualnie mamy ponad 3 mln chorych na trąd, a każdego roku przybywa około 250 tysięcy nowych przypadków zakażenia. Chorują nie tylko dorośli, ale też i dzieci. Choroba szybciej atakuje słabych, niedożywionych, żyjących w warunkach urągających podstawowym zasadom higieny, a więc nic dziwnego, że najbardziej szerzy się w najbiedniejszych

krajach świata. 75 procent trędowatych to mieszkańcy Indii. Z tym problemem zmagają się Afryka, Ameryka Południowa, a także i na naszym kontynencie mamy dość dużo przypadków zachorowań – m.in. w Grecji, Turcji, Hiszpanii, Portugalii, na Malcie i na Cyprze.

Przez wieki, gdy nie było odpowiednich leków, jedynym i najskuteczniejszym środkiem zapobiegawczym była izolacja chorych. Nie chciała ich rodzina, nie było dla nich miejsca w społeczeństwie. Dach nad głową szukali dla siebie w opustoszałych miejscach, w skalnych grotach. Zmuszeni byli żebrać, żeby zdobyć coś do jedzenia. A było to bardzo trudne, bo wszędzie, gdzie się pojawili, byli natychmiast przepędzani, często bici, obrzucani wyzwiskami. Najbiedniejsi z biednych, pozbawieni ludzkiej godności, niechciani przez nikogo, głodni, brudni, dotknięci cierpieniem, które trudno sobie wyobrazić, czekali na śmierć, bo tylko ona jedna była dla nich wyzwoleniem.

Już w Biblii czytamy, że traktowano ich jako nieczystych, przeklętych, umarłych za życia. Nie mieli prawa pojawiać się w miejscach publicznych, a jeśli przechodzili przez jakąś wieś czy miasteczko, uderzali w kołatki i już z daleka wołali: „Nieczysty, nieczysty!” Wszystko po to, żeby - przez przypadek - nikt się do nich nie zbliżył. Tylko Jezus bez obrzydzenia patrzył na nich, dotykał ich ran i uwalniał od tej strasznej choroby. Dzisiaj także liczą tylko na Jezusa, który – posługując się

rękami misjonarzy, misjonarek, wolontariuszy – zbliża się do nich, opatruje ich cuchnące rany i leczy. To właśnie ci misjonarze są dla nich na co dzień świadkami Bożej miłości i miłosierdzia.

W morzu obojętności wobec cierpienia trędowatych trafiali się jednak ludzie, którym ich los poruszał serce i nakazywał działać. Jednym z nich był urodzony w Belgii o. Joannes Franciscus De Veuster noszący zakonne imię Damian (1840–1889). Był kapłanem ze Zgromadzenia Najświętszych Serc Jezusa i Maryi. Usłyszawszy o tragicznym losie trędowatych na wyspie Molokai na Hawajach, pojechał tam i zamieszkał wśród nich na stałe. Był nie tylko ich kapłanem, ale przede wszystkim przyjacielem, towarzyszem ich codziennego życia, pielęgniarzem, lekarzem, grabarzem także budowniczym. Wiele trudu kosztowało go to, by polepszyć warunki ich bytowania, zapewnić im podstawowe środki do życia, ulżyć choć odrobinę w cierpieniu. Wycieńczony pracą i chorobą (zaraził się trędem), zmarł po 16 latach pobytu na Molokai. W 1995 roku papież Jan Paweł II beatyfikował go, a w 2009 roku Benedykt XVI ogłosił go świętym.

Na Madagaskarze trąd do dnia dzisiejszego zbiera obfite żniwo. Jest to czwarty na świecie kraj pod względem zachorowań. W XIX wieku liczba chorych była tu kilkakrotnie większa. Mieszkańcy Madagaskaru nie mieli jednak tyle szczęścia, co mieszkańcy Molokai. Madagaskar był wówczas kolonią francuską, a dla kolonialnego rządu trędowaci nie byli największym problemem. Kolonistom

zależało jedynie na tym, by wywieźć z tej Czerwonej Wyspy jak najwięcej skarbów tej ziemi (złoto, kamienie szlachetne itp.), by dorobić się fortuny na zakładanych tam plantacjach palm kokosowych, wanilii, kawy itp. Dla trędowatych budowali prowizoryczne schroniska i tam ich izolowali. Jednak nie interesowało już ich to czym ci ludzie będą się żywić, jak mieszkać i przede wszystkim jak ulżyć im w cierpieniu. Owszem, od czasu do czasu podrzucili kilka worków ryżu, ale nic ponad to. Można więc powiedzieć, że owe schroniska były czymś w rodzaju getta, poza mury którego nikt nie miał prawa wyjść – ani za życia, ani też po śmierci. Sytuacja była coraz trudniejsza, ale w końcu chorzy Malgasze doczekali się swojego Apostoła Trędowatych.

My, Polacy, mamy piękną kartę zapisaną w historii służby trędowatym. Pionierem na tym polu był oczywiście Ojciec Jan Beyzym. Potem w jego ślady poszło wielu innych. Pracowali i pracują nadal w różnych krajach świata, gdzie trąd zbiera obfite żniwo. Są wśród nich misjonarze, misjonarki, świeccy wolontariusze, lekarze, którzy dzisiaj pomagają ludziom chorym na trąd na całym świecie. Trzeba wymienić tu przede wszystkim o. Mariana Żelazka (1918-2006), werbistę, który ponad 40 lat swojego życia poświęcił chorym na trąd w Indiach oraz doktor Wandę Błęńską (1911-2014), która przepracowała 43 lata wśród trędowatych w Ugandzie. Trzeba wspomnieć i tych, którzy aktualnie poświęcają się opiece nad trędowatymi – m.in. doktor Helenę Pyz - pracującą w

Indiach od ponad 30 lat; s. Noemi Swobodę, józefinkę - w Kongo Brazzaville; s. Barbarę Sojkę i inne siostry ze Zgromadzenia Służebnic Ducha Świętego – od lat na pierwszej linii frontu walki z trądem w Angoli. Jest też wielu innych, o których nie mówi się głośno, nie pisze się na pierwszych stronach gazet, a którzy wszystkie swoje siły i serce poświęcają tym najbiedniejszym z biednych.

Wielce zasłużonym w walce z tą straszną chorobą był Raoul Follereau (1903-1977) – francuski filozof, dziennikarz, poeta, podróżnik a przede wszystkim jeden z wyjątkowych budowniczych cywilizacji miłości naszych czasów. Raoul Follereau zetknął się z trądem podczas podróży do Nigru. Walce z tą chorobą poświęcił resztę swojego życia. Przebył ponad milion kilometrów, odwiedzając sto państw, aby przekonać władze i opinię publiczną do zmiany spojrzenia na trędowatych i do złagodzenia ich cierpień. Napisał potem: „Trędowaci... Widziałem ich nagich, wyjących, wygłodzonych, zrozpaczonych. Widziałem ich rany rojące się od much, ich cuchnące nory, puste apteki i strażników z karabinami. Widziałem niewyobrażalnie straszny świat pełen bóleści i rozpacz. Czy ma to trwać nadal? Czy pozwolimy piętnastu milionom istnień ludzkich umierać i gnić, gdy równocześnie wiemy, że można ich pielęgnować, uleczyć i uratować?”

Pomagając chorym, Follereau miał jednak na myśli nie tylko trąd dotykający ciało, ale też i wielorakie formy trądu duchowego, które w jakimś stopniu dotykają każdego z nas. Pisał: „Egoizm,

materializm, relatywizm moralny i bezbożność są równie groźne, jak choroba wywołana laseczką Hansena, podstępnie niszczą naszą ludzką wrażliwość i osobową godność.” Swój życiowy manifest zawarł w słowach: „Albo ludzie nauczą się wzajemnie kochać, albo wszyscy zginą z powierzchni ziemi”.

W rezultacie jego działań, do 1981 roku, wyleczonych zostało 8 mln chorych. Był on również inicjatorem ustanowienia Światowego Dnia Pokoju i Światowego Dnia Trędowatych. Działalność Follereau kontynuuje dzisiaj fundacja jego imienia. Taka fundacja istnieje również w Polsce.

MODLITWA ZA UBOGICH ŚWIATA

Panie, naucz nas nie kochać już jedynie samych siebie i nie zadowalać się tylko tym, że kochamy naszych bliskich.

Panie, naucz nas myśleć wyłącznie o bliźnich i kochać przede wszystkim tych, którzy nie są kochani.

Panie, spraw, aby bolało nas cierpienie innych.

Daj nam łaskę zrozumienia, że w każdej minucie naszego życia, naszego szczęśliwego życia, nad którym Ty sam czuwasz, tysiące istot ludzkich, twoich dzieci, umiera z głodu i zimna, chociaż na to nie zasłużyły...

Panie, ulituj się nad wszystkimi ubogimi świata. Ulituj się nad trędowatymi, do których tak często

uśmiechałeś się, gdy chodziłeś po ziemi, nad milionami trędowatych,
którzy wyciągają ku Twojemu Miłosierdziu dłonie bez palców, ręce bez dłoni...
I wybacz nam, że na zbyt długi czas zostawiliśmy ich samym sobie, powodowani haniebnym
strachem...
Panie, nie pozwól, abyśmy potrafili być szczęśliwi sami.
Spraw, aby dotykała nas nędza panująca na świecie i uwolnij nas od nas samych,
jeśli taka jest Twoja wola.

Raoul Follereau

Z POLSKI NA MADAGASKAR

„Tatarsko-afrykańska mość” – tak, z humorem, mawiał o sobie Ojciec Jan Beyzym. Jak twierdził, płynęło w jego żyłach trochę tatarskiej krwi - po przodkach. Wystarczyło spojrzeć na jego twarz. O. Marcin Czermiński SJ, pierwszy biograf Jana Beyzyna, wspomina, że „Z rysów twarzy istotnie przypominał Tatara: wie kie czoło, nieco w tył cofnięte, szeroka twarz, wydatne wargi. Całe oblicze tchnęło stanowczością, odwagą i siłą. Kontrastem tej dużej, silnej twarzy były jasne, łagodne, dobre oczy. Twarz Jana Beyzyna przystojnością lub łagodną powierzchownością nie grzeszyła, ale

nie o miłą powierzchowność, rzecz jasna, chodzi... Istotne było to, że ojciec Jan potrafił swoją „tatarskością” budować głębokie i trwałe przyjaźnie”.

Rodzina Beyzymów żyła przez kilka wieków na południowym Wołyniu. Pieczętowali się herbem Pogoń, przedstawiającym w czerwonym polu nagiego jeźdźca na koniu biegnącym na wschód. Ów jeździec trzymał napięty łuk z dwiema strzałami na cięciwie. W górze, w lewym rogu tarczy, nad głową jeźdźca, umieszczony był złoty półksiężyc (rogami go góry), u dołu, w prawym rogu - podkowa srebrna barkiem do góry. Na hełmie, w koronie, trzy pióra strusie.

Według rodzinnej tradycji, protoplasta rodziny, jako małe dziecko, znaleziony został przez jednego z książąt ruskich na poboju, po zwycięstwie nad Tatarami. Ów książę wziął go na wychowanie. Na chrzcie dano mu imię Ławryn i nazwisko BeyZymu, czyli bezimienny (syn nieznanymi rodziców). Z czasem nazwisko to zostało zmienione na Bejzym (Beyzym). Następnie, w nagrodę za męstwo w wojnach przeciwko Tatarom, Ławryn otrzymał herb i znaczne majątki nad rzeką Chomorem na Wołyniu. Tam założył dwie wsie, które nazwał - od swego imienia i nazwiska - Ławryszki (Ławrynowce) i Beyzimy. Jego potomkowie założyli jeszcze wieś Nowe lub Wielkie Beyzimy. Był to więc na pewno ruski ród, ale istniała też tradycja tatarskiego początku rodu. Według rękopisu zachowanego w archiwum rodowym Beyzymów, protoplastą ich rodu miał być

rycerz wielkiej odwagi i nieposzlakowanej sławy rycerskiej, zwany Beyzymu, pochodzący od dwóch kniaziowskich rodów Druckich i Horskich. Jak głosi legenda, powstrzymywał on nie raz od napadu na Wołyń całe hordy tatarskie, które mu nawet hołdować miały.

Jan Beyzym urodził się 15 maja 1850 roku w majątku Beyzimy Wielkie na Wołyniu. Był najstarszym dzieckiem Jana i Olgi z hr. Stadnickich. Wkrótce przyszli na świat Kazimierz i Paweł, a potem, do tej trójki, dołączyli jeszcze Zofia i Aleksander. Rodzicom zależało na tym, by wychować dzieci jak najlepiej. Jak w tamtych czasach bywało, zatrudniali nauczycieli domowych, pod okiem których dzieci przyswajały niezbędną wiedzę, uczyły się języków obcych. Janek uczył się więc, wraz z braćmi, pod kierunkiem Antoniego Michajłowa Chodakowskiego oraz Pawła Duwała - paryżanina.

Zgodnie z tradycją, to właśnie Jan - jako pierworodny - miał w przyszłości odziedziczyć rodzinną posiadłość. Los chciał jednak inaczej. Przepadł nie tylko majątek ale i bardzo szybko skończyło się też beztroskie dzieciństwo.

W 1863 roku wybuchło powstanie styczniowe. Dwór w Onackowcach, gdzie wówczas mieszkali Beyzymowie, splądrowali i spalili Kozacy. Ojciec, za udział w powstaniu, został zaocznie skazany na śmierć. Żeby ocalić życie, zmuszony był uciekać. Po długiej tułaczce znalazł wreszcie schronienie w Porudnie, w za- borze austriackim. Przygarnęli go przyjaciele i zatrudnili jako

zarządcę w swoim majątku. Żona z dziećmi przez jakiś czas przebywała u swojej siostry - Zuzanny Górskiej - w Śledziach na Podolu, jako że jej mąż – Władysław Górski wyjątkowo opiekował się rodzinami powstańców. Beyzymom zaoferował swój pałac w Śledziach oraz mieszkanie w Kamieńcu Podolskim.

Janek miał wówczas 13 lat. Na jego barki spadła część odpowiedzialności za losy rodziny. Pomagał matce w opiece nad czwórką młodszego rodzeństwa i w prowadzeniu domu. W różny sposób starał się reperować skromny domowy budżet. Udzielał korepetycji miejscowym dzieciom. Często zlecano mu też przepisywanie dokumentów urzędowych, jako że miał bardzo ładny charakter pisma. Część zarobionych pieniędzy posyłał żyjącemu w nędzy ojcu. Nie bał się żadnej ciężkiej pracy. Kiedy trzeba było, rąbał drzewo, kosił zboże, pomagał w różnych pracach polowych. Powstańcy, w tym Jan Beyzym senior, w oczach wielu stali się ludźmi „skompromitowanymi”. Ciężko na nich piętno swoistej „zdrady”, bo narazili na straty polski stan posiadania na ziemiach zabranych. Napiętnowane były też niewinne dzieci powstańców. Ojciec Beyzym wspominał po latach: „Póki byłem w gimnazjum, krewni znać mnie nie chcieli, jako niby skompromitowanego przez to, że mój ojciec należał do powstania 1863 roku, bali się nawet pisać do mnie albo żebym ja do kogo z nich napisał. ”Był chłopcem bardzo szlachetnym, prawym i dobrym. Nie bawiły go żadne

rozrywki, nie przywiązywał wagi do wyszukanej elegancji i pięknych ubiorów. Jako gimnazjalista nie znosił mundurków szkolnych czy pańskich strojów. Stale nosił długie buty i kurtkę, tak zwaną hunię, z grubego sukna lub płócienny kitel. Nie cierpiał też, gdy mówiono do niego „panie” czy „panie hrabio”.

Po kilku latach tułaczki pani Beyzymowa, wraz z dziećmi, zamieszkała w Kijowie. Tutaj Janek rozpoczął naukę w miejscowym gimnazjum. Jak każdy młody człowiek, zastanawiał się pewnie wówczas nad wyborem życiowej drogi, ale nikomu nie zwierzał się ze swoich marzeń i planów. Trudno powiedzieć kiedy usłyszał Jezusowe „Pójdź za mną”, ale pewne jest, że to właśnie tam, w Kijowie, odpowiedział: „Tak”. Kiedy ta decyzja dojrzała już ostatecznie, w chłopskim przebraniu przekroczył granicę z Austrią i dotarł aż do Porudna, gdzie spotkał się z niewidzianym od lat ojcem. Ojciec pochwalił jego wybór i prawdopodobnie to on właśnie podsunął mu myśl wstąpienia w szeregi Towarzystwa Jezusowego.

10 grudnia 1872 roku 22-letni Jan Beyzym zapukał do furty jezuickiego klasztoru w Starej Wsi koło Brzozowa. Przyjęto go tutaj do nowicjatu. Przez dwa lata kształcił się, pomagał potrzebującym, a zwłaszcza chorym, kształtował też swojego ducha. Przez kolejny rok opiekował się młodzieżą studiującą w Tarnopolu. Potem wysłano go do Krakowa, gdzie odbył studia teologiczne. W 1881

roku, z rąk bpa Albina Dunajewskiego, przyjął święcenia kapłańskie.

W Starej Wsi kilkakrotnie Janka odwiedzała matka. Doczekała jego święceń kapłańskich w 1881 roku, ale na prymicjach być nie mogła. Zmarła młodo (w 1882 roku) w Rybczyńcach na Podolu, gdzie przebywała u swojej siostrzenicy Mazarakowej pochodzącej z książąt Czetyrtyńskich. W Rybczyńcach znajduje się jej grób.

Zaraz po święceniach skierowano Ojca Jana ponownie do Tarnopola. W tamtejszym konwikcie uczył języka francuskiego i rosyjskiego, był też zastępcą prefekta generalnego. Przeniesiono go później do Chyrowa, gdzie mieściła się, jedna z najlepszych w Polsce, prowadzona przez jezuitów szkoła. Tutaj także powierzono mu nauczanie francuskiego i rosyjskiego, a dodatkowo jeszcze opiekę nad szkolną lecznicą. W wolnych chwilach rzeźbił ramy do obrazów, krzyże, figurki, robił piękne klatki i budki dla ptaków. To właśnie on wprowadzał w tajniki rzeźbiarskiej sztuki Antoniego Wiwulskiego, późniejszego wybitnego rzeźbiarza, twórcę Pomnika Grunwaldzkiego w Krakowie.

Chyrowscy uczniowie przepadali za Ojcem Janem. Uwielbiali jego opowieści historyczne, bajki, legendy. Chętnie dzielili się z nim swoimi radościami, kłopotami i troskami, powierzali mu swoje najskrytsze tajemnice. Bo – jak zauważyli – choć powierzchowność miał szorstką, to serce jego było złote.

Choć praca ta dawała Ojcu Janowi wiele satysfakcji, miał wiele wątpliwości czy Chyrów jest tym właściwym jego miejscem na ziemi. Kiedy w katolickiej prasie przeczytał o pracy misyjnej wśród trędowatych, głowę miał pełną pomysłów, a serce wręcz nakazywało, by i on na misje wyjechał. Wciąż zastanawiał się nad tym, w jaki sposób mógłby pomóc tym nieszczęśliwym, cierpiącym ludziom. Nie było to jednak łatwe.

W prowincji galicyjskiej, do której należał Ojciec Jan Beyzym, nie było w tym czasie tradycji misyjnej. Zresztą, po kasacie zakonu jezuitów i rewolucji francuskiej, aktywność Kościoła na polu misyjnym zamarła na kilka dziesięcioleci. Misje katolickie zaczęły się odradzać dopiero od połowy XIX wieku. Zaczęto szczególnie penetrować nieznany dotąd kontynent afrykański i tam organizowano pierwsze misje. Z prowincji galicyjskiej na misje do Afryki, jako pierwsi, wyjechali koledzy Ojca Beyzyna z czasów jego nowicjatu i studiów (w 1881 roku Emanuel Gabriel SJ, w rok później Jan Hiller SJ). Wtedy też powstało jezuickie pismo „Misje Katolickie”, które stało się najlepszym środkiem promocji misji katolickich.

Ojciec Jan Beyzym wiele słyszał o pracy o. Damiana De Veuster, belgijskiego księdza, który na Hawajach, na wyspie Molokai wszystkie swoje siły i całe serce oddał ludziom chorym na trąd. O. Damian był od niego o 10 lat starszy i nie żył już od dziesięciu, kiedy pragnienie pomagania

trędowatym coraz bardziej nie dawało Ojcu Janowi spokoju. Miał wówczas 48 lat. Nie jest to dobry wiek na rozpoczynanie misyjnej posługi gdzieś daleko w świecie i to jeszcze wśród chorych na trąd. Człowiekowi młodemu w takiej harówce nie starcza sił, a cóż dopiero komuś, kto dobiega półwiecza. Ojciec Beyzym absolutnie nie brał jednak tego pod uwagę.

Pisał listy do generała zakonu i prowincjała z prośbą o wysłanie go na misje, do pracy wśród trędowatych. Mijały dni, tygodnie ale odpowiedzi nie było. W tych okolicznościach napisał podobno do generała, że jeśli prowincjał nie wyda zgody na misje, mówiąc, że brakuje mu ludzi w prowincji, to odpowie mu, że „bez jednego żołnierza można prowadzić wojnę”, a ponadto – dodał z humorem – „Jeśli nagle bym umarł, to prowincjał musiałby się pogodzić ze stratą”.

Długo wyczekiwana zgoda jednak nadeszła. Ojciec Jan miał wyruszyć do pracy w Indiach. Radość trwała krótko. Okazało się bowiem, że nie może tam pojechać, bo jest za stary i nie zna języka angielskiego, którym w tym kraju trzeba się posługiwać. Nie załamało go to wcale i nadal o pracę na misjach zabiegał. Wreszcie udało się. Zapadła decyzja: Madagaskar. Jan cieszył się jak dziecko.

17 października 1898 roku Ojciec Beyzym pożegnał Polskę na zawsze. Szczęśliwy, że spełniają się jego marzenia, spakował kufry, zabrał ze sobą obraz Matki Boskiej Częstochowskiej i w Marsylii

wsiadł na statek, którym miał dopłynąć do Tamatave, dużego portowego miasta na Madagaskarze. Długa i trudna to była podróż. Drugiego grudnia 1898 roku jego stopy po raz pierwszy stanęły na czerwonej malgaskiej ziemi.

DO KOŃCA ICH UMIŁOWAŁ

Po przyjeździe na Madagaskar, Ojciec Jan Beyzym nie od razu rzucił się w wir pracy. Przeszkodziła mu w tym malaria, na którą, zaraz po przybyciu do Antananarivo – stolicy Madagaskaru, zachorował. Jak mówił potem żartobliwie, poznał „pieszczoty ciotuni febry”, która długo nie chciała go opuścić. Podkurowawszy się nieco, udał się do swoich przełożonych, a ci skierowali go do pracy w schronisku dla trędowatych w Ambohivoraka, położonym o dwie godziny drogi (pieszo) od stolicy. Miał tam być dochodzącym kapelanem.

Schronisko, prowadzone przez jezuitów, składało się z czterech ogromnych baraków, niewielkiego kościółka i maleńkiej chatki – mieszkania dla misjonarza. Przebywało w nim stu pięćdziesięciu chorych. W liście do o. Marcina Czermińskiego, redaktora „Misji Katolickich”, Ojciec Jan napisał: „Baraki podzielone na osobne stancje nieprzechodnie, ale stancje (właściwie dziury) okien ani podłogi nie mają. Światła tylko tyle, ile przez otwarte drzwi wchodzi. Całe umeblowanie

takiej stancji stanowi rogóżka rozłożona na ziemi, na której chorzy śpią; w jednym z kątów rozkładają ogień dla gotowania sobie jedzenia; o kominach mowy nie ma. W takiej jednej stancji mieści się jedna rodzina z całym swoim majątkiem, jaki posiada. Odziewają się ci nieszczęśliwi w co kto ma; znajdzie gdzie jaki stary worek lub coś w tym rodzaju i już odziany. Pożywienie ich stanowi ryż przeważnie, którego trochę dostają co tydzień z misji (1 litr na osobę). Oprócz ryżu misja im dać nic więcej nie może, bo żyjemy z jałmużny. Rząd dał dla trędowatych kawał gruntu (ziemia licha, potrzebująca wiele uprawy, żeby co pocziwego wydała), ale nic oprócz tego. Ci z pomiędzy chorych, co jeszcze mogą pracować, grzebią trochę tę ziemię i sadzą co mogą dostać, np. maniok, pataty, fasolę, kukurydzę itp. Jednym słowem: nędza straszna. Chodzą biedacy i świecą ranami, bo owinać nie ma czym. Nie ma przy nich nikogo – ani doktora, ani zakonnic, ani infirmarza, słowem zgoła nikogo”. W porze deszczowej całe schronisko zamieniało się w błotniste bajoro. Przeciekające dachy sprawiały, że we wszystkich „stancjach” było mokro, a chorzy i umierający leżeli po prostu w błocie. Zobaczywszy po raz pierwszy trędowatych w Ambohivoraka, Ojciec Beyzym płakał rzewnymi łzami. Widział w życiu wiele cierpienia, ale takiego, jak tutaj, nigdy. „Gdybym powiedział, że mają „pieskie życie”, to bym wcale nie skłamał – pisał do o. Czermińskiego. – Bo choć krótko tu jestem, zdążyłem się zorientować, że wszystkie malgaskie psy – tak samo, jak

trędowaci – są bezdomne i bezpańskie. Mówi się, że złe duchy w nich siedzą, więc zbliżać się do nich nie wolno. Wiecznie głodne, bo żyją tylko tym, co same upolują albo znajdą wśród śmieci”.

Początkowo był kapelanem dochodzącym, wkrótce jednak uzyskał zgodę przełożonych na zamieszkanie wśród trędowatych i przeniósł się na stałe do Ambohivoraka. Był nie tylko kapelanem ale i pielęgniarzem, lekarzem, zaopatrzeniowcem itd. Kładł się spać późno, wstawał przed świtem. Sypiał na pryczy bez miękkiej pościeli. Na śniadanie jadł ryż, na obiad ryż, a na kolację pił tylko herbatę. Często bywało tak, że brakowało jedzenia dla chorych, więc oddawał im swoje. A potem, kiedy pytali go o to dlaczego nie je obiadu, odpowiadał z uśmiechem: „Zamiast ryżu, wolę herbatę. Herbata pożywna i zdrowa”. I tę herbatę bardzo często pijał – na śniadanie, na obiad i kolację. Ta jego porcja oddawana chorym była niewielka, ale – dzięki niej – przynajmniej jedna czy dwie osoby były mniej głodne.

Od rana do wieczora Ojciec Jan nie miał ani chwili na odpoczynek, bo cały czas był komuś potrzebny. A to wyspowiadać, a to z Wiatykiem i ostatnim namaszczeniem pójść do umierającego, a to rany opatrzyć, nakarmić, umyć itd., itd. Chrzczył też, ślubów udzielał, katechezy i rekolekcje głosił. Choć nazywał siebie Tatarem i był jak Tatar twardy, często łzy same spływały mu po policzkach, kiedy na to nieszczęście i biedę ludzką patrzył. Nie czuł wstrętu, gdy dotykał ich ran, bez słowa

skargi znosił też zapach ich ciał gnijących żywcem.

Swoich podopiecznych nazywał czarnymi pisklętami (ze względu na ich kolor skóry), bo - jak bezradne, słabe pisklęta do matki, tak i oni lgnęli do niego i u niego szukali pomocy i ratunku. Wiedzieli, że każdego pod swoje skrzydła przygarnie i krzywdy nikomu zrobić nie da. „Troszczyłem się o nich jak ojciec i matka, byłem dla nich pielęgniarzem cierpliwie opatrując cuchnące rany – pisał w liście do Polski, do o. Czermińskiego. – Ich widok pobudzał mnie do jeszcze większej czułości i dobroci względem nich. Jak potrafiłem najlepiej, starałem się ich pocieszać i okazywać cierpliwość. Tak, rzeczywiście oni byli najniezwyklejsi spośród nieszczęśliwych”.

Potworne warunki bytowania, głód i nieuleczalna choroba – to już było wiele, ale dołączały do tego jeszcze inne biedy. Wielu chorych cierpiało nie tylko z powodu trądu, ale też i syfilisu czy gruźlicy. Prawie wszyscy mieli parchy i wszy. Zmorą nie do opanowania były „parasy afrika” (pchły afrykańskie), które nieustannie atakowały mieszkańców Ambohivoraka. Kiedy dostały się pod skórę, rozmnażały się tam w piorunującym tempie i robiły ogromne spustoszenie w organizmie, często doprowadzały nawet do śmierci. Żeby się ich pozbyć, trzeba było jak najszybciej wydłubać to paskudztwo spod skóry – igłą lub jakimś innym ostrym narzędziem. Był to zabieg żmudny i bolesny. Bolesny, bo chorzy mieli ciało pokryte ranami, a dłubanie w ranach to strasz- na rzecz. Ojciec

Beyzym każdego dnia robił takie operacje swoim podopiecznym, także i sobie, bo na nogach, zaatakowanych przez parasy afrika, chodzić się nie dało. Kiedy „operacja” zabierała mu zbyt dużo cennego czasu, po prostu obcinał sobie nożem skórę na nogach. Przez jakiś czas trzewików, niestety, nie założył. Musiał „paradować” w sandałach, ale był szczęśliwy, że jest „na chodzie” i może swoim „czarnym pisklętom” pomagać.

Już od samego początku Ojciec Beyzym myślał o wybudowaniu szpitala, gdzie chorzy na trąd mogliby leczyć się za darmo, godnie żyć i godnie umierać. Miał nadzieję, że właśnie tutaj, w Ambohivoraka, taki szpital powstanie. Niestety, nie dostał na to zgody, bo, rzekomo, nie było tu placu pod budowę. Po trzech latach zmagania taką zgodę wyblagał. Niestety, nie w Ambohivoraka. Szpital miał być budowany w Maranie, ponad 400 km od stolicy. Musiał więc opuścić swoich podopiecznych i ruszyć na nowe miejsce, by tam zacząć działać. Chorzy bardzo przeżyli tę decyzję, bo znowu zostali sami, zdani na łaskę i niełaskę losu. Większość z nich, pod przymusem, została umieszczona w schronisku rządowym, gdzie warunki były o wiele gorsze niż tutaj. Najsilniejsi zdecydowali się na podróż do Marany, żeby być ze swoim umiłowanym Ojcem Janem. Na stopach bez palców, na jednej nodze – szli kilkadziesiąt dni przez góry, żeby do Marany dotrzeć. I dotarli. Byli szczęśliwi, że znów pod skrzydła Ojca Jana trafili. A on, kiedy ich zobaczył, wzruszył się

ogromnie i z radością do grona czarnych piskląt w Maranie ich przyjął.

Budowa szpitala trwała dziewięć lat. To ślimacze tempo – jak mawiał Ojciec Beyzym – wynikało nie tylko z braku środków finansowych. Było też wiele przeszkód innego rodzaju, które opóźniały działanie. M.in. na prawie cztery lata budowę trzeba było wstrzymać, bo tak zdecydowali przełożeni. Były kłopoty ze znalezieniem ludzi do pracy, z materiałami budowlanymi. Większość tych materiałów przyływała tu z Europy statkiem, a z portu do Marany (prawie 200 km) nieśli je wynajęci tragarze. Jeśli jedną przeszkodę udało się usunąć, pojawiała się natychmiast następna. I tak było codziennie.

Ojciec Beyzym miał na co dzień na głowie nie tylko budowę. Tutaj także był kapelanem, pielęgniarzem, lekarzem, zaopatrzeniowcem itd. Był też „wynałazcą”. Tak, to on właśnie wymyślał i konstruował różnego rodzaju urządzenia, które miały ułatwić życie chorym. Skonstruował m.in. specjalną „protezę” na dłoń, dzięki której chorzy, pozbawieni palców, mogli sami się nakarmić. Zrobił też coś w rodzaju lektyki, którą całkowicie już niedołączni mogli być przenoszeni – np. do kościoła, czy na dziedziniec szpitala. Sam zaprojektował wodociąg, dzięki któremu szpital miał stały dostęp do wody. Na dziedzińcu zrobił wspaniałą fontannę. Razem z chorymi zakładał i pielęgnował warzywny ogród. Wszędzie siał i sadił mnóstwo pachnących kwiatów (m.in. róże i lewkonie) i

krzewów, a wszystko po to, żeby złagodzić zapach, jaki towarzyszy tej strasznej chorobie. Sam wyposażył wnętrze kaplicy – wyrzeźbił ołtarz, tabernakulum, krzyż i ramy do obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej.

Od rana do nocy nie zdejmował roboczego fartucha. Sutanna, w której chodził na co dzień szybko się zniszczyła i wymagała naprawy. Sam zabrał się za jej reperowanie, ale z efektów nie był zadowolony i żartobliwie mówił, że „sutanna wygląda tak, jakby ją nie krawiec ale jaki rymarz lub powroźnik czy inny tego rodzaju majster naprawiał”.

Nie dbał o siebie wcale, bo dbał przede wszystkim o swoje „czarne pisklęta”. Trudno powiedzieć ile razy dopadła go malaria, ile razy afrykańskie pchły i inne przypadłości. Kiedy potrzebował lekarza, musiał iść piechotą do stolicy (ponad 400 km). Tam przez jakiś czas przebywał w infirmerii, ale ledwo mu się nieco poprawiło, już ruszał w powrotną drogę. Bo tam, w Maranie, czekały na niego „czarne pisklęta” – głodne, poranione, opuszczone przez wszystkich. A on kochał je tak bardzo, że gotów był życie swoje za nie dać. I w zasadzie dał to życie.

W Maranie mieszkał wśród trędowatych przez jedenaście lat. Niektórzy mówili, że już za życia dał się zamknąć w grobie. Bo z Marany, w tamtych czasach, żywy nikt raczej nie wychodził. Zrobił to z miłości do Chrystusa. Bo Jego wybrał i służył Mu opiekując się tymi najniezwyklejszymi z

nieszczęśliwych. To przez jego ręce przytulał ich Chrystus do serca, ran ich dotykał. W twarzach tych odrzuconych i sponiewieranych przez wszystkich, pozwalał mu dostrzegać na co dzień swoją twarz.

W 1911 roku, na rok przed swoją śmiercią, Ojciec Beyzym oddał wreszcie do użytku szpital. Jak na tamte czasy i warunki, był to rzeczywiście nowoczesny obiekt, prawie taki, jakie wówczas były w Europie. Ojciec Beyzym usilnie zabiegał o to, by przydzielono mu do pomocy siostry zakonne, bo w pojedynkę nie dawał już rady zajmować się wszystkim. Chorych przybywało, a ręce do pracy miał tylko dwie. W roku 1910 zgłosiła się na ochotnika pierwsza zakonnica - s. Anne Marie Clerget (Francuzka) ze Zgromadzenia św. Józefa z Cluny. Spędziła tu 57 lat swego życia jako misjonarka, nie powracając już nigdy (nawet na urlop) do swojej rodzinnej Burgundii. Spoczywa ona na cmentarzu w Maranie, podobnie jak s. Irénée Rasoamihanta, pierwsza siostra Malgaszka, która dobrowolnie podjęła się pielęgnacji trędowatych.

Pomoc sióstr zakonnych była bezcenna, ale pracy w Maranie nie ubywało. Każdy dzień był tu walką o przetrwanie. Piętrzyły się trudności, ubywało sił. Ojciec Beyzym czuł się coraz gorzej. Trudno wyliczyć ile i jakich miał chorób. Praca ponad siły, niedożywienie i afrykański klimat zrobiły swoje. Do tej pory kładł się do łóżka tylko na chwilę i to tylko wtedy, gdy miał 40 stopni

gorączki. Przyszedł jednak moment, że wycieńczone ciało odmówiło mu posłuszeństwa. Cierpiał bardzo, ale – jak zwykle – mówił: „Wszystko to drobnostki – ot, trzaseczki z Krzyża Pańskiego”. Do końca wydawał z łóżka dyspozycje dotyczące szpitala i jego pacjentów. Do końca martwił się o swoje „czarne pisklęta”. „Umrę, to Matka Boska da drugiego Polaka i jakoś to pójdzie” – mówił. Odszedł do Pana rankiem 2 października 1912 roku, w święto Aniołów Stróżów. Matka Boska przysłała do Marany Francuza. Polak zamieszkał tu dopiero w sto lat później.

HOJNOŚĆ POLAKÓW

Wybudowanie szpitala dla trędowatych stało się największym marzeniem Ojca Jana Beyzyna. Już od pierwszych chwil po przybyciu na Madagaskar myślał o tym intensywnie i równie intensywnie zabiegał u swoich przełożonych o zgodę na to przedsięwzięcie. Niektórzy przekonywali go, że nawet najlepszy szpital nic tu nie pomoże, bo przecież lekarstwa na tę chorobę nie ma. Że wystarczy trędowatym schronisko i trochę jedzenia. Zobaczywszy na własne oczy jak wyglądają takie schroniska i opieka nad chorymi, na takie argumenty miał tylko jedną odpowiedź: „Schronisko nie wystarczy. Chorzy muszą żyć i umierać jak ludzie, a nie gorzej niż zwierzęta”.

Kiedy wreszcie udało się uzyskać zgodę na budowę, Ojciec Jan, na wszelkie możliwe sposoby,

zaczął zabiegać o fundusze. Nie miał ani grosza przy duszy, ale modlił się i wierzył, że potrzebna suma się zbierze. Odtąd słał w świat listy z prośbami o jałmużnę. Pisał do Francji, Niemiec i do Polski. Szukał wsparcia u wszystkich, którym cierpienie chorych na trąd nie było obojętne. Słał prośby w korespondencji do czasopisma „Misje Katolickie”, jak również i do osób prywatnych.

„Jałmużna to łaska, o którą prosić trzeba i to pokornie” – mówił i cieszył się jak dziecko z każdej, nawet najdrobniejszej ofiary. Kiedy dowiedział się, że z Polski wysłano dla niego 235 franków, powiedział: „Sumka wprawdzie malutka, ale początek funduszu na szpital już jest. Resztę doda Matka Boska”. I dziękował Bogu za tę ludzką hojność. Ta suma powoli rosła.

Z Francji i Niemiec datków napływało niewiele i były niezbyt duże. Wielką hojność okazywali przede wszystkim Polacy. Ojciec Jan był za tę hojność bardzo wdzięczny, bo zdawał sobie sprawę, że jego ukochana Ojczyzna sama jest w potrzebie. Że, gnębiona przez zaborców od ponad stu lat, przeżywa wiele problemów narodowych i społecznych. Wiedział też, że jego rodaków gnębi bieda i że spadają na nich różne klęski żywiołowe, z którymi trudno im sobie poradzić. Jakby tego było mało, w 1900 roku omal nie spłonęła Jasna Góra – miejsce tak ważne dla każdego Polaka. Pożar nie poczynił większych szkód jeśli chodzi o klasztor, ale doszczętnie spłonęła wieża i stopiły się umieszczone na niej dzwony. Na odbudowę potrzeba było 50 tysięcy rubli. Ale – ziarnko do ziarnka

i zebrała się miarka. Polacy znów okazali szczodrość, a nawet i sam car przekazał na ten cel 5 tysięcy rubli. Ojciec Jan miał wielkie wyrzuty sumienia, że w takich okolicznościach o jałmużnę ośmiela się prosić, ale cóż było robić...

Polacy, choć sami byli biedni, nie ustawiali w pomaganiu. Pewna staruszka, nie mając grosza przy duszy, przyniosła do redakcji „Misji Katolickich” słoik konfitur. Przekazując je o. Czermińskiemu powiedziała: „Proszę je wziąć. Ojciec je sprzeda dla Marany. Nie skosztowałam nigdy takich słodyczy, ale chętnie ofiaruję je dla trędowatych”. Innym znów razem pewien robotnik oddał połowę dziennego zarobku na przytułek dla trędowatych.

Zdarzały się jednak i takie przypadki, że dostawało się Ojcu Beyzymowi za to, że trędowatymi się zajmuje. Znalazł się nawet taki Polak – katolik, który nie tylko, że nawet 5 groszy nie dał na ofiarę, ale radził Ojcu Beyzymowi, żeby wszystkich trędowatych wystrzelać albo otruć, a wtedy i problemu z chorobą nie będzie. Zdarzyło się to tylko raz, ale wystarczyło, żeby w sercu Ojca Jana powstała rana, która zabić się nie chciała nigdy. Modlił się gorąco za tego człowieka, przebaczył mu, ale zapomnieć tych słów nie potrafił. Dzieło budowy szpitala wspomagał Brat Albert Chmielowski, który wielokrotnie organizował zbiórkę pieniędzy na ten cel. Wsparcia finansowego, jako jedni z pierwszych, udzielili dawni i aktualni wychowankowie szkoły w Chyrowie.

Zorganizowali oni loterię fantową, z której dochód, w całości, przeznaczyli dla „czarnych piskląt”.

Szczególną pomoc Ojciec Jan otrzymał od Marii Teresy Ledóchowskiej, która porzuciła karierę damy dworu w Salzburgu dla działalności misyjnej i walki z niewolnictwem. To właśnie ona przekazała dość znaczną sumę pieniędzy, przysłała najpotrzebniejsze przedmioty domowego użytku i wyposażenie dla powstającej w Maranie kaplicy (szaty liturgiczne). Od Polaków otrzymał Ojciec Beyzym także kielich i patenę, które przez wiele lat (jako jedyne) używane były podczas każdej Mszy św. Dzisiaj używa się ich tylko z wyjątkowych, świątecznych okazji.

Kiedy szpital już stanął i wyposażono go w najniezbędniejsze sprzęty, potok darów nie przestał płynąć. „Polacy, moi kochani bracia zawsze byli tacy hojni. Takie już mają serce. Sami nie mają wiele, a czasem od ust sobie odejmą, żeby z biedniejszymi się podzielić” – mówił Ojciec Jan i łzy wzruszenia ocierał. Modlił się: „Mateńko Kochana, wynagródź im za to stokrotnie”. Tej modlitwy za darczyńców uczył także swoich podopiecznych. Wprowadził zwyczaj odmawiania różańca – codziennie o godz. 16.00 – właśnie w intencji ofiarodawców. Ten zwyczaj wciąż trwa.

Do Marany dary płyną także i dzisiaj. Czasem jest to wąski strumyczek, czasami trochę większy potok. Tak, jak kiedyś, są to głównie dary z Polski i od Polaków rozsianych po świecie. To właśnie Polacy odpowiadają natychmiast na każde wołanie o pomoc, na każdą prośbę z Marany. Luksusów

nie ma, ale szpital wciąż funkcjonuje, a chorzy znajdują tutaj pomoc w chorobie.

Zawsze możemy liczyć przede wszystkim na o. Czesława Tomaszewskiego – dyrektora Referatu Misyjnego Towarzystwa Jezusowego Prowincji Polski Południowej, który od lat stara się o materialną pomoc dla misjonarzy pracujących w Afryce i na Ukrainie. Można powiedzieć, że przemierzył już chyba pół świata, żeby zdobyć środki na tę pomoc. Ponadto o. Czesław jest redaktorem naczelnym biuletynu „Misyjnym Szlakiem”. Dzięki artykułom zamieszczanym w tym piśmie, wiele osób dowiaduje się nie tylko o pracy misjonarzy, ale przede wszystkim o warunkach życia i potrzebach ludzi mieszkających w krajach misyjnych. Wołanie o pomoc porusza ich serca i dzielą się – często „wdowim groszem” – z potrzebującymi gdzieś na drugim końcu świata. Pomocy o. Czesława zawdzięczamy wiele i my w Maranie. W ostatnim czasie – między innymi – sfinansował nam budowę studni tak bardzo potrzebnej dla naszego szpitala. Nasi chorzy są mu za to bardzo wdzięczni i modlą się codziennie za niego. Wdzięczne są także dzieci z Marany, które, dzięki „Adopcji Serca”, mogą uczęszczać do szkoły, która tutaj jest płatna.

W ubiegłym roku otrzymaliśmy też duże finansowe wsparcie z parafii kolejowej Najświętszego Serca Pana Jezusa w Nowym Sączu. Dzięki tej pomocy mogliśmy nie tylko wyremontować, ale przede wszystkim unowocześnić – zgodnie z obowiązującymi standardami – sanitariaty w naszym

szpitalu.

Dzięki wielkim i hojnym sercom wielu ludzi, udało nam się zrobić w Maranie dużo ważnych rzeczy – m.in. pomalować blaszane dachy budynków. Dodam w tym miejscu, że blacha na tych dachach liczy sobie 111 lat, a sprowadził ją z Polski sam o. Jan Beyzym.

Gdyby nie ta hojność Polaków, ludziom na Madagaskarze, chorym na trąd, odebrano by nie tylko możliwość leczenia, życia i umierania w godnych warunkach, ale też wszelką nadzieję i wiarę w to, że na świecie – oprócz ogromu zła i niesprawiedliwości – jest dużo dobra. Póki co, tej wiary i nadziei nie tracą. I niech tak będzie – jutro, za rok, za dwa, pięć..., zawsze.

MARANA DZISIAJ

Kiedy przekroczy się bramę Marany, zwykle na spotkanie pierwsze wybiegają dzieci. Uśmiechnięte – malgaskim zwyczajem – od ucha do ucha, klaszczą w małe dłonie i śpiewają gościom piosenkę.

Dzieci jest obecnie w Maranie ponad czterdzieści. Jedne z nich chorują na trąd, inne nie. Są wśród nich także chore na gruźlicę. Większość przybyła do Marany wraz z rodzicami, pozostałe urodziły się tutaj. Kilkanaścioro to sieroty, bo trąd zabrał im oboje rodziców.

W Maranie nie ma placu zabaw z kolorowymi huśtawkami, zjeżdżalnią, nie ma boiska do gry w piłkę. Dzieci nie mają zabawek, smartfonów, nie oglądają telewizji. Zawsze jednak znajdą dla siebie jakąś rozrywkę. Grają w klasy, skaczą na skakankach, bawią się w berka albo chowanego. Pewnie czasem mają ochotę na dobre ciastko albo czekoladę. Nic więc dziwnego, że kiedy na dziedzińcu pojawia się kapelan, biegną do niego, krzycząc na cały głos: „Mompera, aiza ny bonbons?” (Ojczy, masz cukierki?) A mompera sięga do „czarodziejskiej” kieszeni, w której zawsze znajdzie się coś na osłodę dla nich.

Młodsze dzieciaki każdego dnia uczestniczą w zajęciach przedszkolnych prowadzonych przez siostry zakonne. Starsze jeżdżą do szkoły w Fianarantsoa. Wszystkie chętnie uczestniczą we Mszy św. i modlitwie różańcowej, odmawianej tutaj codziennie o godz. 16-tej, w intencji ofiarodawców, dobroczyńców Marany.

Tak, jak wszystkie dzieci, pewnie płaczą też czasami, bo – jak wszystkie – boją się zastrzyków i z niechęcią połykają gorzkie tabletki. Najgorzej jest, kiedy umrze mama, bo wtedy zostają na tym świecie zupełnie same. Tylko dzięki programowi „Adopcja Serca” mogą skończyć szkołę, nauczyć się zawodu, a potem, po wyjściu ze szpitala, znaleźć pracę i jakoś sobie radzić.

Aktualnie wszystkich pacjentów jest w Maranie około siedemdziesięciu. Niektórzy przebywają

tu do dwóch lat, bo tyle wymaga proces leczenia, ale są też i tacy, którzy mieszkają tu lat kilkanaście. Jest niewielka grupka takich, którzy w Maranie zostaną do końca życia, bo – mimo, że są wyleczeni – nie chce ich rodzina, nie chce nikt. Dla tych po drugiej stronie murów Marany, byli i zawsze będą trędowaci. Nawet po śmierci rodzina nie zabierze ich ciał i będą musieli spocząć nie w rodzinnym grobowcu (jak nakazuje malgaska tradycja), ale tutaj, na niewielkim cmentarzu, który, za szpitalnym murem, jeszcze Ojciec Beyzym założył.

Niektórzy chorzy zgłaszają się do szpitala sami, innych trzeba do leczenia przekonywać, namawiać. Stąd też, kilka razy w roku, siostry zakonne, pracujące w Maranie, odwiedzają miasteczka i wioski w buszu i „negocjują” z chorymi. Po takich wyjazdach zawsze przybywa w szpitalu kilku nowych pacjentów, często w stanie katastrofalnym.

Z opieki szpitala korzystają również mieszkańcy wioski dla trędowatych, wybudowanej w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych minionego wieku, tuż za murami szpitala, przez fundację Raoula Follereau. W tej wiosce mieszka kilkadziesiąt rodzin.

Liczba pacjentów szpitala waha się od siedemdziesięciu do stu. Dołączając do tego chorych z wioski trędowatych, można powiedzieć, że jest ich ponad dwustu. Szpitalem zajmują się siostry ze zgromadzenia św. Józefa z Cluny. Aktualnie jest ich osiem. Zatrudnia się też dwie pielęgniarki

świeckie i kilku pracowników „do zadań specjalnych” Są więc ludzie zajmujący się ogrodem, sprzątnięciem, drobnymi remontami, pomocą w gospodarstwie, jest też i kierowca. Na terenie Marany funkcjonuje mała stolarnia, gdzie wykonuje się szafki, stołki, ławki i różne inne drobne meble. Sprzedaje się je, a zysk pozwala podratować nieco szpitalny budżet. Istnieje też zakład szewski, gdzie robi się specjalne buty dla chorych – miękkie, wygodne, takie żeby nie urażały poranionych trądem stóp. Ten zakład funkcjonuje tu od czasów Ojca Jana Beyzyma. Jest też mała szwalnia.

Chorych trzeba leczyć, ale przede wszystkim, każdego dnia, zapewnić im wyżywienie. O to, żeby nie zabrakło tutaj leków, opatrunków i tej przysłowiowej łyżki ryżu, martwią się siostry. Nie jest łatwo, ale jakoś sobie radzą. Siostry mają małe „gospodarstwo”. Hodują kilka sztuk zebu (byków), kilka świń, mają stadko kur, indyki, gołębie, króliki. Od jakiegoś czasu jest też kilkanaście owieczek, a niedawno dołączyła kózka, koziołek i małe koźlątko. Od czasu do czasu zabija się jednego zebu, świnię, czy jagniątko i wtedy chorzy dostają trochę mięsa do ryżu. Kiedy stadko kóz się powiększy, będzie kozie mleko. Na terenie Marany są też dwa stawy rybne, więc czasami kawałek jakiegoś karpia albo tilapii na talerzu chorych się trafi. Jest też pasieka (około 50 uli), więc słodkości nie brakuje. Są też owoce i warzywa ze szpitalnego ogrodu, ale na wyżywienie takiej ilości chorych, niestety, to nie wystarczy. Ryż, mąkę, olej i inne produkty trzeba kupić. Zdarza się, że –

gdy braknie pieniędzy – chorzy muszą zadowolić się jedynie miską ryżu z dodatkiem liści podobnych do naszego szpinaku. Mówi się na to tutaj: vary sy anana (ryż z trawą). Bywa, że i przez kilka tygodni tę „trawę” jedzą codziennie.

Siostry gotują dla siebie, kapelana i dla tych chorych, którzy nie mogą już sami się obsłużyć. Pozostali przygotowują posiłki samodzielnie, we wspólnej kuchni na terenie szpitala. Nie ma kuchni gazowych czy elektrycznych. Garnek z potrawą do ugotowania stawia się na specjalnym trójnogu, a pod spodem pali się węglem drzewnym albo drewnem. Dym z tych palenisk roznosi się po całym domu i sprawia, że ten dom pachnie jak kurna chata.

Do niedawna wielkim problemem w Maranie był brak wody – zwłaszcza w porze suchej, kiedy wysychały źródła i miejscowy wodociąg (zbudowany jeszcze przez Ojca Beyzyma sto lat temu) nie działał. Jakoś trudno sobie wyobrazić, żeby taki szpital mógł funkcjonować bez wody, która tutaj potrzebna jest nie tylko do picia, mycia, prania, ale także do utrzymania tego miejsca w higienicznym stanie. Problem został rozwiązany w ubiegłym roku, bo dzięki ofiarodawcom z Polski, ludziom o wielkich sercach, udało się wybudować studnię głębinową w Maranie. Wody jest więc pod dostatkiem. Przydałoby się jednak tę wodę choć trochę podgrzać, bo w zimnej raczej nie jest przyjemnie myć się, zwłaszcza chorym. Owszem, jest taka możliwość i robi się to, ale potem

przychodzą niewyobrażalnie wysokie rachunki za zużycie prądu. Jedynym rozwiązaniem są panele fotowoltaiczne, ale na to na razie nie ma pieniędzy.

Szpital w Maranie ma już 111 lat i tu i ówdzie ciągle trzeba coś poprawiać i łątać. Naprawi się jedno, a w tym czasie psuje się kilka innych rzeczy. No, cóż...

Tak, jak Ojciec Jan Beyzym, wszystkie kłopoty i troski powierza się w Maranie Matce Najświętszej. Ona nigdy nie zawiodła. Zawsze znajdzie się ktoś, kto wesprze w potrzebie. Wszystkim ofiarodawcom należy się ogromna wdzięczność, bo dzięki nim ten szpital wciąż istnieje i niesie chorym ulgę w cierpieniu. Mieszkańcy Marany dziękują z całego serca za dary wielkie i małe, za każdy „wdowi grosz”, bo tylko dzięki tym ofiarom mogą żyć i nie tracić nadziei na wyleczenie z choroby. Ta hojność przede wszystkim umacnia w przekonaniu, że w tym dzisiejszym, dziwnym świecie, gdzie szerzy się tyle zła, nie brakuje ludzi wrażliwych, o wielkich sercach. I że ten świat nie zginie dzięki nim. Że nie zginie też i Marana.

MIEJSCE CUDÓW

Ojciec Jan Beyzym zawierzył Maranę Matce Najświętszej. Jego zaufanie i nabożeństwo do Niej było nadzwyczajne. O. Augustyn Niobey SJ, który w tamtych czasach Maranę często odwiedzał,

zanotował:

„We wszystkich potrzebach i trudnościach uciekał się do Niej ze wzruszającą prostotą. Czy zdarzył się jakiś kłopot, czy niepokój, czy też problem do rozwiązania, dobry Ojciec klękał na parę minut u stóp Najświętszej Dziewicy. Często polecał, by wszystko czynić z Najświętszą Dziewicą i przez nią. Zdumienie ogarniało, jak potrafił łagodzić spory wśród drogich mu trędowatych. Jego interwencje przyjmowane były z zadowoleniem wszystkich. Winowajcy wracali od niego mówiąc: „On mnie pocieszył lepiej niż ojciec i matka. Pewnego razu ktoś zapytał go, jak mu się to udaje. Odpowiedział: „Najświętsza Maryja Panna wszystko ułożyła, ja tylko odmówiłem Zdrowaś Maryjo. Jako Kozak mógłbym wszystko zburzyć. Przy pomocy Najświętszej Maryi Panny daję najpierw burę, potem przykrywam wszystko jednym Zdrowaś Maryja, a Najświętsza Matka wszystko załatwia. [....]”

Wieczorem powierzał opiekę nad domem i jego mieszkańcami Najświętszej Dziewicy. W tym celu miał pobożny zwyczaj odmawiania Zdrowaś Maryjo, gdy zamykał wszystkie drzwi. W czasie ostatniej choroby mówił: „Nie zamknięto jeszcze drzwi z pomocą Zdrowaś Maryja!” Pytano się go, ile trzeba odmówić. „Piętnaście” – odpowiedział.

Gdy siał kwiaty lub miał udać się w drogę, ofiarował wszystkie kroki na cześć kroków, które

zrobiła Matka Najświętsza w podróży do Egiptu. Można wreszcie powiedzieć, że Zdrowaś Maryjo było jego ulubioną modlitwą; zawsze miał ją na ustach i w sercu oraz potrafił innych do tego skutecznie zachęcać”.

Tam, w Maranie. Najświętsza Panna miała twarz Pani z Jasnej Góry. To Jej obraz, który przywiózł tutaj z Krakowa, oprawił w pięknie rzeźbione ramy i nad ołtarzem w kaplicy zawiesił. Kochał Ją nie tylko on, ale i jego chore „czarne pisklęta”. Była im bliska, bo twarz miała brązową i poranioną – tak, jak oni. To przed tym obrazem, sam i razem ze swoimi podopiecznymi, wyprosił wiele łask. W jednym z listów do redakcji „Misji Katolickich” napisał:

„Ja tu jestem najkompletniejszym zerem, nic a nic zgoła nie zrobiłem i nie zrobię. Wszystkim rządzi i wszystko urządza sama Najświętsza Pani, do której zawsze i we wszystkim, w najdrobniejszych nawet rzeczach udaję się z prośbą; zatem wszystko to jest Jej dziełem, a mojej zasługi nie ma tu wcale”.

W Maranie, już od samego początku, każdego dnia działy się rzeczy, których ludzkim rozumem pojąć się nie da. Bo i jakże wytłumaczyć na przykład to, że w krótkim czasie chorzy przestali masowo umierać. Leków – oprócz aspiryny i rycynusu – Ojciec Beyzym nie miał. Do tej pory częściej umierali z głodu niż z powodu trądu czy jakiejś innej choroby. A on modlił się i starał się

bardzo, by każdemu zapewnić choć odrobinę ryżu. Cudem było przede wszystkim to, że zdobył pieniądze na budowę i wyposażenie szpitala. Cudem także i to, że szarańcza, która często pustoszyła całą okolicę, nigdy nie poczyniła aż tak wielkich szkód w przyszpitalnym ogrodzie, żeby chorzy nie zebrali chociaż części plonów.

Wielkim cudem było przede wszystkim to, że chorzy – którzy w większości byli poganami – sami prosili o chrzest, a potem z wielką gorliwością przystępowali do pierwszej spowiedzi i Komunii Świętej. Wielu przyjęło również sakrament małżeństwa. Cudem było to, że żaden z chorych nie odszedł na tamten świat bez pojednania z Panem Bogiem, bez Komunii św. i ostatniego namaszczenia.

Pewnego dnia do Marany dotarły dary z Polski. Było wśród nich kilka skrzyń, w których przysłano ornaty, alby, komeżki i bieliznę liturgiczną na wyposażenie szpitalnej kaplicy, która właśnie wtedy powstawała. Kaplica nie była jeszcze gotowa, więc skrzynie z darami trzeba było gdzieś przechować. Złożono je w szopie, gdzie warunki nie były najlepsze. W porze deszczowej było tu mokro i pewnym było, że zawartość skrzyń szybko ulegnie zniszczeniu. Po dwóch latach skrzynie kompletnie zbutwiały. Jednak, kiedy zajrzano do środka, okazało się, że cała ich zawartość pozostała w idealnym stanie. Ornaty, alby, komeżki i bielizna liturgiczna były tak świeże, że nie trzeba było

ich nawet prac. Jedynie obrazki włożone między szaty pokryły się pleśnią i rozpadały się w rękach. Czyż to nie cud?...

Chorzy, pokochawszy Matkę Najświętszą, podobnie jak Ojciec Jan, modlili się do Niej i prosili o łaski. Matka Boża wysłuchiwała tych błagań i oddawała je w ręce swojego Syna. A Syn – jak zawsze – Matce odmówić przecież nie mógł.

Było w Maranie wiele małych, codziennych cudów, a także i wielkich. Ot, choćby uzdrowienie Józefa – człowieka trędowatego, który stracił wzrok. Dzięki wstawiennictwu Najświętszej Pani, któregoś dnia jego oczy znowu mogły widzieć świat i najbliższych.

Kiedy Ojciec Beyzym odszedł do Pana, nie zostawił swoich „czarnych piskląt” bez opieki. Wydając ostatnie tchnienie, Bogu ich polecił i dobrym ręką Maryi powierzył. I – tak, jak za jego życia – dzisiaj trwa tutaj nieustanny, modlitewny szturm do nieba. Tak, jak kiedyś, na każdym kroku słysząc tu wypowiedane z wiarą i ufnością „Zdrowaś Maryjo”. Chorzy wiedzą, że Matka Najświętsza była zawsze niezwykle szczodra dla Ojca Beyzyma. Wierzą, że Ojciec Jan jest w niebie, blisko Jezusa i Maryi. „Jeśli on wstawi się do Niej, to na pewno mu nie odmówi żadnej łaski” – mówią i o wstawiennictwo go proszą.

Zaraz po śmierci Ojca Jana, modlili się przy jego grobie. Teraz polecają mu swoje boleści,

troski i kłopoty, klęcząc przy sarkofagu w kaplicy, gdzie przeniesiono jego doczesne szczątki. I Ojciec Beyzym – tak, jak za życia – pomaga. Tak było m.in. w przypadku Ignacego – dwudziestoletniego chłopaka chorego na trąd. Ignacy przyjął w Maranie chrzest, potem został katechistą. „Dusza wybrana, wzór pobożności i sumienności w wykonywaniu przepisów, pełen miłości i współczucia dla najniezwyklejszych współtowarzyszy. Jako katecheta porywa dusze, a jako pielęgniarz jest nieocenionym pomocnikiem o. Decesa i sióstr” – napisała o nim s. Kazimiera od Jezusa. Pewnego razu Ignacy kilkakrotnie zachorował na febrę. Czuł się kiepsko, więc wszyscy modlili się szczerze o łaskę zdrowia dla niego. Któregoś dnia jeden z trędowatych zauważył, że Ignacy zachowuje się bardzo dziwnie i mówi od rzeczy, jakby rozum postradał. O. Deces, który pracował w Maranie jako lekarz, stwierdził, że Ignacy istotnie oszalał. Chorzy rozpoczęli więc modlitewny szturm do nieba. Zaczęli odmawiać nowennę w jego intencji. Były też indywidualne modlitwy przy łóżku Ignacego. Często też prowadzili go na grób Ojca Beyzyma i tam błagali o uzdrowienie za jego wstawiennictwem. Stan chorego jednak się pogarszał i o. Deces zabronił mu przystępowania do Komunii św., jako że Ignacy zdradzał wszystkie objawy pomieszania zmysłów i nie był odpowiedzialny za swoje czyny. W piątym dniu nowenny Ignacy znów zaczął mówić rozsądnie i odzyskał spokój. Poprosił o spowiedź, przyjął Komunię św. Był zupełnie zdrow i mógł

znowu posługiwać wśród chorych.

Takich przypadków było w Maranie wiele. Ojciec Jan wciąż żył w pamięci malgaskich trędowatych. Czcili go nawet ci, którzy nie mogli go już poznać osobiście. W 1937 roku to właśnie trędowaci z Marany wystąpili do Stolicy Apostolskiej z prośbą o wszczęcie procesu beatyfikacyjnego. W tym czasie również i w Polsce rozpoczęto starania o wyniesienie na ołtarze tego Apostoła Trędowatych. II wojna światowa, niestety, zahamowała wszystkie te inicjatywy. Ponowne starania rozpoczęły się dopiero w 1978 roku, tuż przed wyborem kard. Karola Wojtyły na papieża. Z oficjalnym wnioskiem do Stolicy Apostolskiej wystąpili księża jezuici z Prowincji Polski Południowej. Nawiązano także kontakty z arcybiskupstwem w Fianarantsoa na Madagaskarze. Proces beatyfikacyjny otwarto w sześć lat później – w 1984 roku. W grudniu 1993 roku, w Maranie, ekshumowano doczesne szczątki Ojca Jana Beyzyna, by przenieść je do kaplicy w szpitalu dla trędowatych.

Wiosną 1989 roku przybył na Madagaskar Ojciec święty Jan Paweł II. 1 maja odwiedził Fianarantsoa i tu, na miejscowym stadionie, przewodniczył Mszy św., na której zgromadziło się ponad 100 tysięcy osób. Byli wśród nich także trędowaci z Marany. Jan Paweł II był bardzo wzruszony. Powiedział: „Jestem szczęśliwy, że celebрую przed krzyżem i obrazem naszej Pani

Częstochowskiej, który przywiózł on do Marany i że ofiaruję Najświętszą Ofiarę używając jego kielicha. [...] Jesteśmy wdzięczni Ojcu Beyzymowi za oddanie całej swej energii i całej swej miłości na służbę trędowatym”. A potem udzielił Komunii św. grupie trędowatych, podarował różańce i znaczną sumę pieniędzy dla Marany.

Proces beatyfikacyjny trwał 18 lat. Zbierano zeznania świadków i lekarzy – w Polsce i na Madagaskarze. Jeśli chodzi o potwierdzenie heroicznego cnót i dzieła Ojca Beyzyna, prace postępowały szybko. Konieczny był jednak cud dokonany za jego wstawiennictwem. I taki cud się zdarzył, w 1997 roku.

Pewien młody człowiek z Krakowa doznał bardzo ciężkich obrażeń podczas wypadku samochodowego. Prawie wszystkie narządy wewnętrzne były uszkodzone. Szanse na przeżycie miał prawie zerowe. Rodzina i przyjaciele prosili o wstawiennictwo Ojca Jana Beyzyna. Lekarze byli bardzo zaskoczeni, gdy po kilku miesiącach pobytu w szpitalu ów człowiek zaczął wracać do zdrowia i potwierdzili, że medycyna raczej tu niewiele pomogła. 18 sierpnia 2002 roku, na Krakowskich Błoniach, Ojciec Święty Jan Paweł II dokonał beatyfikacji czworga Sług Bożych, którzy całym swoim życiem świadczyli o niezgłębionym miłosierdziu Bożym i miłości Boga do człowieka. Wśród nich był Apostoł Trędowatych – Ojciec Jan Beyzym.

Od beatyfikacji minęło już 21 lat. Z Marany, a także i z Polski wciąż płyną modlitwy o kanonizację tego niezwykłego człowieka i kapłana, polskiego Samarytanina, który w chorych na trąd widział na co dzień cierpiącego Chrystusa i z miłością im posługiwał. Czy do kanonizacji dojdzie? Tego nie wiemy. Wiadomo jednak, że wciąż dzieją się niewytłumaczalne rzeczy – cudowne uzdrowienia, nawrócenia, ocalenia z niebezpiecznych sytuacji, cuda wielkie i małe – w Maranie, w Polsce i na świecie. A największym z tych cudów jest chyba ten, że szpital w Maranie wciąż istnieje i udziela pomocy chorym na trąd. Istnieje, choć na jego utrzymanie nie wpłynął dotąd ani jeden przysłowiowy grosik z państwowej kasy. Istnieje, tylko i wyłącznie, dzięki ofiarodawcom, ludziom o wielkim sercu. Nie ma więc wątpliwości, że Ojciec Beyzym opiekuje się nadal swoimi „czarnymi pisklętami”. Za życia mawiał, że to „Matka Boska radzi o swojej czeladzi”. Teraz, w niebie, gdzie jest blisko Jezusa i Maryi, o wiele więcej łask wyprosić może.

MODLITWA O KANONIZACJĘ BŁ. JANA BEYZYMA

Boże miłosierdzia i Ojcze wszelkiej pociechy! Ty przez sługę swego bł. Jana Beyzyna okazywałeś miłosierdzie i pocieszenie najniezszczęśliwyszemu spośród nieszczęśliwych, opuszczonemu i odepchniętemu,

odgrodzonym od społeczności ludzkiej murem lęku i pogardy.

Przez Twoje w nim miłosierdzie i przez jego wstawiennictwo uczyn nas narzędziem Twojej opatrności, dobroci i pocieszenia dla wszystkich, którzy tego potrzebują.

A jeśli woli Twojej nie jest to przeciwne, racz go zaliczyć do grona swych świętych, nam zaś udziel łaskawie tego, o co Cię ufnie prosimy z pragnieniem Twojej chwały i naszego dobra.

Przez Chrystusa Pana naszego. Amen.

BIBLIOGRAFIA

LISTY O. JANA BEYZYMA T.J. APOSTOŁA TRĘDOWATYCH NA MADAGASKARZE,
Nakładem Wydawnictwa Księży Jezuitów, Kraków 1927, wydanie piąte

Ludwik Grzebień SJ, BŁOGOSŁAWIONY JAN BEYZYM - Człowiek i dzieło, Wydawnictwo WAM, Kraków 2014

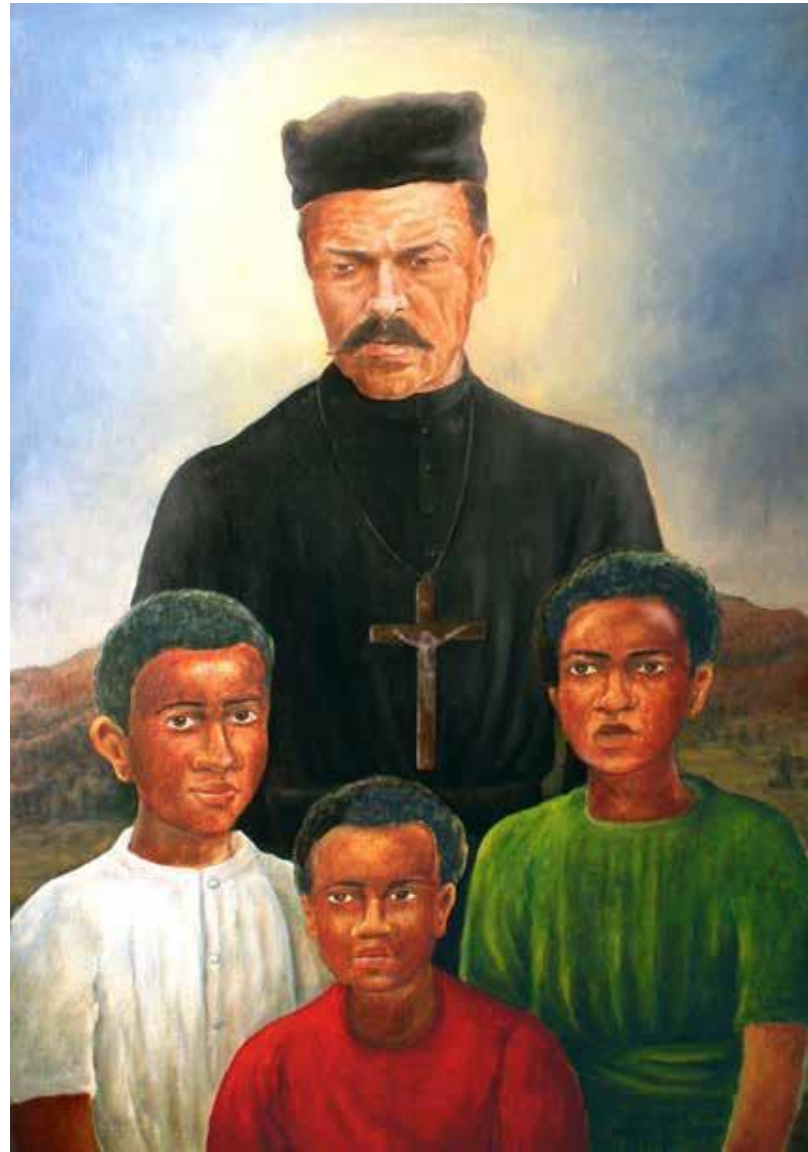
Józef Augustyn SJ, ŻYCIE DUCHOWE, Zima – 77/2014, Wydawnictwo WAM, Kraków

Wojciech Kowalski SJ, W SŁUŻBIE NAJUBOŻSZYM - Posługa trędowatym bł. Jana Beyzyna SJ,
Życie Duchowe – Jesień 72/2012, Wydawnictwo WAM, Kraków

KWARTALNIK CHYROWSKI, DEO - PATRIAE -AMICITIAE, Korespondencya przyjacielska w
miejsce rękopisu Konwiktu, Sodalicyi Konwiktowej Chyrowskiego Koła Towarzystwa im. Piotra
Skargi oraz Związku Chyrowiaków, (Zeszyt) Nr. IV, listopad 1912

POLAK-KATOLIK codzienne pismo poranne, Redaktor i wydawca – Ks. Ignacy Kłopotowski, Nr 249, s. 1-2, Warszawa – wtorek dn. 8 października 1912 r.

Dorota Kozioł, BŁOGOSŁAWIONY OJCIEC JAN BEYZYM – POLSKI SAMARYTANIM,
Wydawnictwo WAM, Kraków 2012



Bł. o. Jan BEYZYM SJ (1850-1912)
- Polski Samarytanin, Apostoł Trędowatych na Madagaskarze.
(portret z Muzeum o. Bezyma w Maranie; malowała Dorota Kozioł)



Droga z Fianarantsoa do Marany. ⬆



Dzieło o. Jana Beyzyma widziane z góry Kianjasoa.

Zanim o. Jan Beyzym wybudował szpital, mieszkał właśnie w tym domku, w eukaliptusowym lesie, przy drodze. ⬆



To tutaj, za szpitalnym murem, trędowaci oczekują na swoje zmartwychwstanie.



Figura św. Józefa – głównego „bankiera” Marany (tak nazywał go o. Beyzym).↑



Dziedziniec żeńskiej części szpitala zdozi grota z piękną figurą Matki Bożej z Lourdes.

Dziedziniec męskiej części szpitala.



Wnętrze kościółka. W prezbiterium obraz Matki Bożej Częstochowskiej – patronki Marany.





W tym sarkofagu spoczywają doczesne szczątki bł. o. Jana Bezymy – Posługacza Trędowatych.†



Dom sióstr i kapelana szpitala. Ponad sto lat temu mieszkał tu także o. Bezym.

O. Jan Bezym pierwszy tę ziemię ukwiecił. Dzisiaj też jest tutaj kolorowo i pachnąco.



Kwitnie tu także „Kwiat Madagaskaru” (u nas zwany Gwiazdą Betlejemską).



„Załoga” Marany: kapelan i siostry ze Zgromadzenia św. Józefa z Cluny. †



Siostra – jak mama – zawsze ma dla chorych uśmiech i dobre słowo.

Pochylanie się nad ranami chorych to najpiękniejsza modlitwa, która trwa tutaj każdego dnia.



Marline Zaiarisoa (37 lat) mieszka w Maranie od lat 20. Aż trudno uwierzyć, że dłońmi bez palców potrafi robić na drutach piękne szaliki i czapki.



W Maranie ludzie nie tylko umierają, ale też się rodzą. Te dzieciaki przynieśli do kaplicy rodzice (pacjenci szpitala), by je ochrzcić.



Mali pacjenci lubią bawić się na dziedzińcu szpitala, gdzie – w kapliczce - czuwa nad nimi św. Józef.

„Kosi, kosi łąpci”... i już maluch przestaje płakać.↑



Z kapelanem fajnie jest. Opowie coś ciekawego, no i cukierki zawsze ma w kieszeni!...



Takim „busem” 20 dzieciaków jedzie codziennie (jak sardynki w puszcze) do szkoły w Fianarantsoa.↑



W Maranie czysto i pięknie musi być, więc każdy, komu siły pozwalają, chętnie włącza się w „prace społeczne”.

Pod nóż poszło zebo. Teraz trzeba sprawiedliwie podzielić mięso, żeby każdy dostał choć kawałek.↑



Tu robi się i naprawia buty dla chorych – wygodne, miękkie, które nie urażają okaleczonych trądem stóp.



Każde jajko jest tu na wagę złota, więc siostry dbają o to, żeby kury dobrze się nosły. ⌆



Na miód z tej pasieki czekają wszyscy. Bo to miód „palce lizać”!

Dziś na obiad będzie ryba. Na pewno smaczna, bo przecież z własnego stawu. ⌆



Pasterz i jego malgaski „kierdel”. Wełny z tych owieczek nie będzie, ale szaszłyki owszem.



Właśnie trwa skuwanie skał, bo trzeba przygotować teren pod budowę sanktuarium.



A sanktuarium bł. Jana Beyzyma w Maranie tak właśnie będzie wyglądało.